

## Pierwszy kontakt ze Świadkami Jehowy

Praca w zakładzie fotograficznym była moim marzeniem. Miałem do czynienia z profesjonalnym sprzętem, aparatami fotograficznymi i nowocześnie wyposażoną ciemnią do wywoływania kolorowych odbitek. W zakładzie pracowałem jako laborant; czasami pstrykałem klientom fotki do dowodów osobistych, paszportów lub fotografowałem sesje zdjęciowe dzieci czy też nowożeńców. Spółdzielnia Fotoplastyka miała swoje punkty usługowe rozsiane po całym Trójmieście, więc większość pracowników znała się z różnych szkoleń i wspólnych wypadów na miasto.

Moi współpracownicy pracowali w zakładzie od ładnych parę lat, więc dość szybko wtopiłem się w środowisko fotografów, których, poza pracą, ulubionym zajęciem było wspólne balowanie, gdzie się dało. Prawie każda impreza zaczynała się w zakładzie. Tuż przed końcem dnia pracy skrzykiwaliśmy się w którejś z filii spółdzielni, konsumowaliśmy podkład pod dalszą część imprezy i ruszaliśmy w miasto po wrażenia.

Niedaleko naszego zakładu pracy był punkt fotograficzny, w którym nie było ciemni. Pracowały tam same dziewczyny, które robiły klientom zdjęcia i przyjmowały filmy do wywoływania, a zlecenia łądowały w naszym zakładzie. Raz dziennie, któraś z pracownic pojawiała się w pracowni i zostawiała nam klisze do dalszej obróbki. Pewnego razu do zakładu przyszła dziewczyna, której nigdy wcześniej nie widziałem. Przedstawiła się jako Ania i od razu wpadła mi w oko. Kombinowałem, jak poznać bliżej tę atrakcyjną dziewczynę i czułem, że nie mogę z tym zwlekać, więc z miejsca nakłoniłem kolegę, aby zainicjował jakiś wypad na miasto, a jako że kolega był szybki w organizowaniu rozrywek, impreza miała odbyć się jeszcze tego samego dnia. Czułem wielkie podekscytowanie na okoliczność spotkania Ani po raz kolejny i to jeszcze tego samego dnia!

Po skończonej pracy udaliśmy się do zakładu dziewczyn, który stał się dla nas lokalem wysoce rozrywkowym, więc zostaliśmy w nim do rana. Okazało się, że też wpadłem Ani w oko, więc nie było na co czekać - nasz związek rozpoczęliśmy w tym samym dniu. Ta przypadkowa znajomość dość szybko przerodziła się w regularne zadurzenie. Spotykaliśmy się na mieście lub u mnie w domu, dość szybko wymieniliśmy między sobą strefy erogenne. Ania nie stroniła od alkoholu, paliła papierosy, w towarzystwie była bardzo aktywną osobą - jak na tamten czas, była dla mnie idealną partnerką na resztę życia. Czułem, że przy niej nigdy nie będę się nudzić.

Postanowiłem na gorąco, że w żadnym wypadku nie mogę wypuścić z rąk tej wiele obiecującej okazji, bo pewnie lepszej nie znajdę. To nic, że mój wiek nie pozwalał jeszcze na zawarcie ślubu, bo nie miałem dwudziestu jeden lat, kiedy legalnie mogłem zawrzeć związek małżeński. Od czego więc był sąd? Sąd był dla mnie wtedy od wydania pozwolenia, abym mógł wkroczyć w prawdziwą dorosłość. Po miesiącu ścisłej znajomości postanowiłem się oświadczyć, ponieważ wydawało mi się, że już wystarczająco się poznaliśmy, a na resztę poznawania mamy przecież całe życie ramię w ramię. Wydawało mi się wtedy, że oznaką mojej dojrzałości społecznej byłaby chęć poznania jej rodziców, jednak Ania unikała tego tematu twierdząc, że starzy są trochę dziwni i ogólnie nie ma o czym dyskutować.

W końcu gdy już się oświadczyłem, a ona z rozpędu przyjęła moją ofertę, nie było wyjścia - musiałem przyszłych teściów poznać. Zaproponowała mi, że spotkamy się nazajutrz, bo najpierw chciałaby mnie na to spotkanie z rodzicielami przygotować. Magiczne słowo „przygotować” trochę zaburzyło ten mój stan poczucia, że dotąd wszystko układało się według mojego scenariusza i nie było w nim żadnych mrocznych wątków. Pierwsza myśl jaka mi przyszła do głowy w wyniku tego nieoczekiwanego zwrotu akcji to wizja, że musi być w tym domu niezła patologia, skoro dziewczyna

musi specjalnie przygotować mnie do kontaktu ze swoją rodziną.

Umówiliśmy się na to „przygotowanie do spotkania” z przyszłymi teściami u mnie w domu. Moja matka pracowała na zmiany 24/48 godzin, więc chatę miałem wolną co drugi dzień. Ania pojawiła się jakaś bardzo oficjalna i powściągliwa, w pierwszej chwili miałem wrażenie, jakby przyszła do mnie zupełnie obca dziewczyna. Zaproponowałem piwo - odmówiła. Chciałem poczęstować fajką - odmówiła. Przez głowę mi przemknęło, że pewnie obwieści mi jakąś ciężę, czy inny kataklizm.

- Bo widzisz, moi rodzice są Świadcami Jehowy.

Na takie rewelacje to zupełnie nie byłem przygotowany. Wiedziałem, że chodzą po domach roznosząc kolorowe ulotki z obrazkami jak z dziecięcej literatury, na których są pokazane pikniki w kiczowatych ogrodach, na których ludzie są dziwnie uchachani, targają kosze pełne owoców, ich dzieciaki obściskują się z lwami, a na tę fruktariańską imprezkę spieszą inni biesiadnicy, którzy właśnie zmartwychwstali. Przypomniałem sobie jak swego czasu pogoniłem ich, gdy obudzili mnie w niedzielę rano po imprezie. Zaczęli zadawać serię pytań, z których zapamiętałem najbardziej dziwne; czy wiem jak ma na imię bóg? Tak jakby sami nie wiedzieli. Ot, upierdliwi, nieszkodliwi wariaci z jakimś bzikiem. Kto go nie ma?

Jednak oświadczenie mojej wybranki zostało wydane takim tonem, jakby właśnie wyznała komuś po raz pierwszy w życiu, że jej rodzice są kosmitami z innej planety, niekoniecznie Ziemiom przyjaznej.

- No i co w związku z tym? - próbowałem tych państwa od razu postawić poza nawias, bo czułem, że z nieszkodliwymi czubami nie mam obowiązku w tym wypadku zacieśniać więzów. Wyrwę tylko od nich moją panią i będziemy sobie żyć po naszymu, bez tych lwów, ogrodów i owoców.

- Przyniosłam trochę literatury, żeby łatwiej mi było wyjaśnić ci, o co w tym chodzi. - powiedziała wyciągając wprawnym ruchem wachlarz gazetek.

Teraz żałuję, że nie posłuchałem wewnętrznego głosu, który nakazywał jak mi najszybsze zakończenie tej dziwacznej sytuacji. Widok tych kolorowych pisemek i odmienny wygląd mojej wybranki serca jednoznacznie wskazywał, że jest w tym wszystkim drugie - dość dziwne dno. Jednak serce nie służy, więc połknęłam tę żabę zapewniając żarliwie, że mi to nic nie robi i do wszystkiego potrafię się dopasować. Niestety moja wyobraźnia była ograniczona co do konsekwencji, jakie miały mnie czekać przez najbliższe 20 lat z okładem.

- Jesteśmy ogólnoświatową organizacją bożą – zwiastowała mi Ania – pewnie nie raz spotkałeś się z moimi współwyznawcami, bo naszym zadaniem jest głoszenie po całej ziemi dobrej nowiny o Królestwie Bożym.

- No to wpadłem - pomyślałem sobie kompletnie ogłuszony tym oświadczeniem. Zaraz pewnie dostanę 40 stopni gorączki, jak w trakcie religijnego czuwania przy zmarłej babci i taki będzie finał przyszłego małżeństwa.

- Jako przedstawiciele organizacji bożej musimy odróżniać się od ludzi ze świata...

Wtedy pierwszy raz usłyszałem to powiedzenie: „ludzie ze świata”. Dziś wiem, że jest to jeden z silnych mechanizmów, który powoduje u Świadców poczucie wyjątkowości na tle wszystkich ludzi

na Ziemi i daje im poczucie bycia wybranymi, których Jehowa wybrał do prowadzenia ogólnoświatowej działalności, mającej zwiastować Armagedon, czyli wojnę bożą z ludźmi.

- I właśnie dlatego – ciągnęła swój wywód moja narzeczona – musimy przejawiać wysokie mierniki moralne.

W tym miejscu pewność jej mentorskiego tonu wyraźnie się zachwiała i na jej twarzy widać było jakąś walkę, która w jej wnętrzu właśnie się toczyła. W dalszej części dowiedziałem się, że Świadkowie nie palą, piją z umiarem, a życie seksualne rozpoczynają po ślubie... No i na koniec jeszcze taki drobiazg, że mają zalecenie aby pobierać się w Panu, czyli tylko między sobą.

- No to chyba mamy problem, bo ja nie wierzę w boga – prosto wyraziłem własne położenie.

Nasza dalsza konwersacja potoczyła się w kierunku praktycznym – taki plan B - co można zrobić w owej sytuacji. Zacząłem zdawać pytania, dlaczego wierzy w boga i czy jest pewna co do jego istnienia i jak to jest dokładnie z jej rodzicami, i na czym ta inność jej wyznania polega, bo z katolikami nie ma takiego problemu.

Tak do końca nie pamiętam dokładnego przebiegu tej rozmowy, ale wynikało z niej, że ojciec Ani jest jakąś figurą w zborze, a matka głosi po domach na pełnym etacie. Na koniec rozmowy dowiedziałem się, że istnieje jedna możliwość abyśmy byli razem - musiałem podjąć studium biblijne i uczestniczyć w zebraniach zborowych.

Pierwsza wizyta u przyszłych teściów przebiegła w gęstej atmosferze. Widać było, że moje zaloty do ich córki kompletnie im nie odpowiadały. Po wymianie chłodnych słów udaliśmy się do pokoju, aby obgadać co będzie ze mną dalej, bo mimo dziwaczności całej tej sytuacji, byłem zdeterminowany, aby doprowadzić do ślubu. Ustaliliśmy, że podejmiemy studium biblijne i po miesiącu oznajmimy, że chcemy się pobrać.

Nie tak sobie tę drogę do ożenku wyobrażałem. Niespodziewane przeszkody, które pojawiły się, postanowiłem ogarnąć według własnego widzimisię. Mogłem pójść na jakieś wymagane ustępstwa, odwalić to całe studium biblijne po łebkach, o wierze w jakąś Jehowę nie było mowy, a już tym bardziej nie widziałem siebie w ancugu i z teczką przyrośniętą do dłoni maszerującego od drzwi do drzwi, wciskając ludziom ulotki. Podświadomie czułem, że dokonałem wyboru, który poniesie sporo negatywnych dla mnie konsekwencji; zobowiązanie do studium biblijnego, chodzenie na zebrania zborowe... Krótko mówiąc były to upierdliwe dodatki do przyszłego związku małżeńskiego.

Gorączkowo szukałem jakiejś psychicznej rekompensaty za ten trud. Ponieważ poznałem moją przyszłą żonę z zupełnie innej strony niż głoszą te ich mierniki biblijne, jasnym dla mnie było, że te zasady to taki pic na wodę, a ci wyznawcy gdzieś tam we własnych kręgach i tak prowadzą zupełnie inne życie niż oficjalnie podają. Kolega z zakładu opowiadał mi z wielkim przekonaniem, że Świadkowie zbierają się raz w roku w jednej sali, zasłaniają okna, gaszą światło i „mieszają krew” - tak to nazwał. Tak więc owa wizja „mieszania krwi” osłodziła mi mój podupadły w tym czasie stan ducha.